

Niepokorne
Klara

W serii *Niepokorne*:

Eliza
Klara

W przygotowaniu:

Judyta

Agnieszka
Wojdowicz
Niepokorne
Klara

Text © copyright by Agnieszka Wojdowicz, 2015

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015

Projekt okładki *Katarzyna Borkowska*

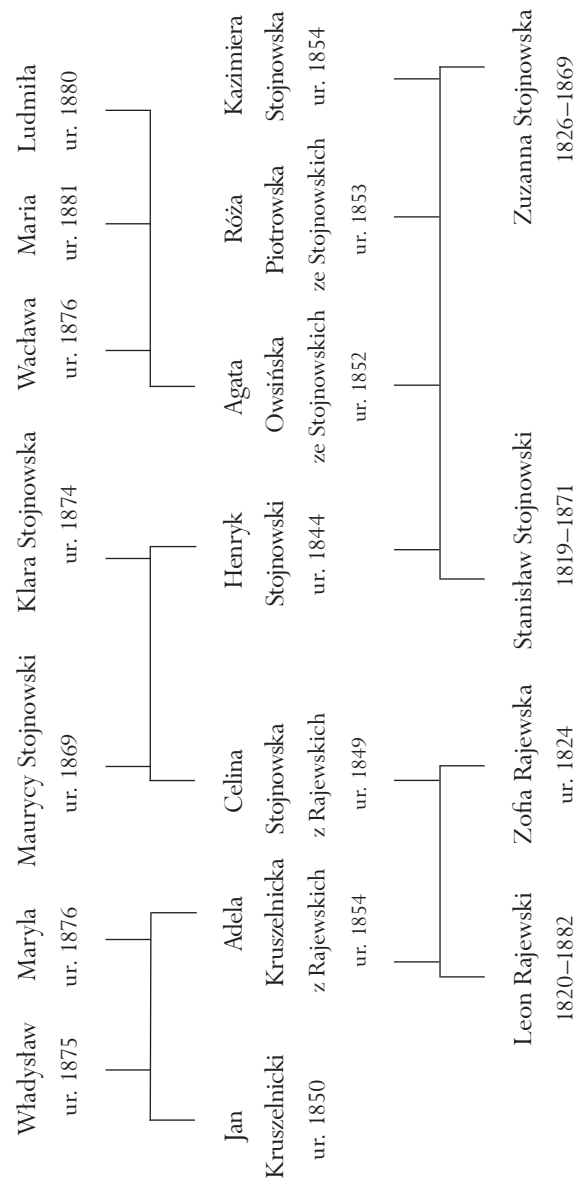
Zdjęcia na okładce:

© Condé Nast Archive/Corbis/Fotochannels

© istockphoto.com/ooyoo

Zagadki Teodora Żabskiego za: Antonina Domańska, *60 szarad i zagadek*,
Złoczów 1902

Rodzina Stojnowskich



Judyta skinęła głową i się rozstały. Powinna złapać dorożkę albo wsiąść do omnibusu, ale myśl o powrocie do pracy była jej niemal wstrętna. Dusił ją wśród zajętych sobą szwaczek, pozbawionych ambicji prostych dziewcząt z biedniejszych dzielnic Wiednia, bo dzieliło je wszystko: marzenia, aspiracje, oczekiwania od życia, pragnienia. Potrzebowała przestrzeni i tego, by znów poczuć się wolną, gotową na nowe wyzwania, na nieznane.

Spojrzała w stronę pierwszej dzielnicy. Na starym mieście niczym miniaturowe gwiazdy jarzyły się gazowe latarnie, iglice kościelnych wież ginęły w mroczniejącym niebie, niższe od nich domy przyciągały wzrok subtelnymi, pastelowymi fasadami, więc urzeczona, pod wpływem nagłego impulsu, zmieniła plan.

Ulica, wybrukowana i szeroka, musiała prowadzić do serca starówki. Gwar, postukiwania obcasów, skrzypnięcia kół i turkot tworzyły muzyczne tło dla wędrującej przed siebie dziewczyny, mijanej przez żołnierzy w jaskrawych mundurach, przekupniów z koszami na plecach, obwieszonych sznurówkami domokrążców, tragarzy z wózkami z drewna. Ruch, kolory, faktury, zapachy – właśnie do tego tęskniła.

Oto katedra o wieżach i wieżyczkach tak misternych jak mereżki Mizie, z ostro zakończonymi portalami, o błyszczących witrażami oknach i barwie przywodzącej na myśl kamyk pamięci, który przywiozła z Krakowa. A dalej, kiedy skręciła w prawo i w lewo, kościół o ścianach niczym z najgładszej kości słoniowej, przysadzisty, z mocno osadzoną w gruncie niską wieżą. Jeszcze wille, do których wiodły pozatrzaszkowane

metalowe bramy, ogrody z drzewami pochyłymi pod ciężarem prastarych konarów, pomniki niczym łuki triumfalne, parki i skwery.

Szła długo na północ, trochę na wschód, a wreszcie dopadło ją znużenie. Wokół pociemniało, ucichło, więc kiedy rozejrzała się w poszukiwaniu dorożki, zobaczyła jedynie podejrzane uliczki i niskie zaniedbane domy. Była to mniej cywilizowana część miasta, gdzie życie toczyło się swoistym rytmem i rządziło prawami odmiennymi niż cesarsko-królewski Wiedeń. Kiedy niedaleko rozległy się pijackie nawoływania, a po chwili krzyki i złorzeczenia, przystanęła. Strach podpowiadał jej, by zawrócić, lecz wtedy z naprzeciwka, z gęstej, nieprzejranej ciemności, wynurzyła się postać, która zmierzała wprost ku niej. Mężczyzna zataczał się, sapiąc; spod zapiętego krzywo krótkiego paltotu wystawały poły surduta, czarny melonik zsunął się na ucho.

– A ty tak, kochaneczko... samiuteńka? – wybełkotał, stanąwszy w rozkroku. – No to ja ci, rybeńko, służę ramieniem... Chodź tu do mnie... Chodźże, przecież stać starego Lanza, żeby kupić całusa... Koron mam całą kieszeń... No! Nie stójże jak słup! Stary Lanz wyściska, wycaluje...

Puściła się biegiem między domy, żeby tylko nie przejść obok niego. Męski głos cichł z wolna, a gdy wypadła na uliczkę równoległą do poprzedniej, został zupełnie w tyle. Odechnęła, bo tu gdzieniegdzie świeciły latarnie.

Uspokoila oddech w chwili, gdy na parterze dwupiętrowej kamienicy, pod jarmarcznym szyldem szynku z hukiem otworzyły się drzwi. Pojawili się żołdacy, lecz takich mundurów nie znała z Krakowa. Jeden ciągnął opierającą się chicho-

czącą pannę w jaskrawoczerwonej sukni, inny wywrzaskiwał sprośną piosenkę, a gdy zobaczył Judytę, ze śmiechem zaczął na nią gwizdać.

Raptem męska dłoń krzepko schwyciła ją za ramię.

– Niech ich pani zignoruje – usłyszała. – Proszę powiedzieć, dokąd pani idzie, odprowadzę panią.

Nie widziała, skąd nadszedł, ale stał tak blisko, że miała pewność, iż jest trzeźwy. Nie mogła też przyjrzeć się dobrze twarzy ocienionej rondem kapelusza.

– Niechże mnie pan puści! – wyszczała, oswobadzając rękę.

– Jest pani bezpieczna. Chyba że nie przeszkadzają pani te zaczepki, może jest pani jedną z tych... Faktycznie nie wiem, z kim mam przyjemność.

– Jedną z tych?!

– Spittelberg nie jest miejscem dla dam.

– Za kogo mnie pan bierze?! Jak pan śmie?!

– Proszę nie krzyżeć, przecież nie chciałem pani obrazić. Widzi pani? Stracili zainteresowanie pani osobą, jak tylko zaczęliśmy rozmawiać. Nie jest pani z Wiednia, ma pani zabawny akcent. Przyjechała pani...

– Z daleka. Żegnaj pana – rzuciła, usiłując go wyminąć, ale znów poczuła dłoń na ramieniu.

– Pomogę pani, proszę się nie lękać. Jeżeli zgubiła pani drogę, wystarczy...

– Niechże mi pan da spokój – powiedziała zimno. – Bo wezwę pomoc!

– Obawiam się, że nikt się tym nie przejmie.

Mierzyli się wzrokiem. Teraz widziała jego twarz odrobinę wyraźniej, lecz wyostrzone blaskiem latarni rysy nie wzbudzały ani zaufania, ani tym bardziej sympatii.

– Dobrze, przedstawię się pani...

– Proszę pana... – Głos Judyty drżał z irytacji. – Jest pan natrętny i źle wychowany. Towarzystwo pana jest mi niemiłe i dziwię się, że pan to z uporem ignoruje.

Uchylił kapelusza.

– Rozumiem. Proszę iść do końca ulicy, dalej jest Mariahilfer Strasse, tam nic pani nie grozi. Żegnaj panią.

Judyta skinęła nieznacznie głową i tym razem bez przeszkód dotarła do skrzyżowania z ruchliwą aleją handlową, gdzie trotuarem przelewały się tłumy, a w aptecznych i kawiarnianych oknach jaśniały światła. Zatrzymała pierwszą wolną dorożkę, która dowiozła ją pod sam dom. Była już noc, gdy słaniając się ze zmęczenia, wdrapała się na poddasze.

Mizie pojawiła się w pracowni następnego poranka. Mina poprosiła ją do kantorka i łagodnie napomniwała, odwołując się do jej poczucia odpowiedzialności oraz lojalności wobec pracodawczyń. Przypomniwała, że renoma firmy jest rzeczą świętą, a opinia klientek, o którą zabiegała latami, gwarantuje im wszystkim pracę, więc nie można tego lekceważyć, niedopuszczalna jest niepunktualność lub, co gorsza, niewywiązywanie się z zamówień.

Dziewczyna wróciła do szwalni z zaczerwienionymi oczami, usiadła na stałym miejscu i zajęła się haftem. Koła maszyn do szycia turkotały monotonna, zgrzytały nożyce i szeleściły materiały, lecz żadna z pracownic Miny nie pozwoliła sobie na choćby słówko komentarza.

Jednak Judycie żal było Mizie, więc gdy znalazła się z Miną sam na sam w przymierzalni, nie mogła pominąć milczeniem ostatnich zdarzeń.

– Ona bardzo się stara i niczemu nie jest winna – oświadczyła.

– Nic jej nie będzie – odrzekła Mina. – Szwaczki nie dałyby jej żyć, gdyby się jej upiekło. Zresztą chodzi tu o pracownię, następnym razem pomyśli więc dziesięć razy, zanim poprosi o pomoc Icka. Mamy szczęście, że panna Flöge wybaczyła nam tę nierzetelność, chociaż w zamian musiałam dać jej słowo, że namówię cię na wycieczkę. Milli jest zauroczona twoimi pracami i pragnie poznać cię bliżej, a ja uważam, że wyjdzie ci to na dobre. Trudno nie zauważyć, że żyjesz tu jak w więzieniu. Pora wyjść do ludzi, moja droga. Omówicie szczegóły, gdy Milli znowu nas odwiedzi.

* * *

– Zabieram panią do Landtmanna – oznajmiła Milli Flöge, zaprosiwszy Judytę na filiżankę kawy. – Musi mi pani o sobie opowiedzieć, bo zamierzam się z panią zaprzyjaźnić i przedstawić ją moim znajomym.

Miała urodę typowej wiedeńskiej, okrągłą twarz o jasnej cerze i rude włosy oraz zaokrągloną figurę przy słusznym wzroście, a mimo to potrafiła czarować wdziękiem i szykiem, jak choćby dziś, w zjawiskowej koronkowej sukni i kapeluszu ozdobionym kompozycją z margerytek.

Jakby na przekór prawdziwie wiosennej aurze do kawiarni pojechały dorożką. Wsiadły przy Uniwersytecie Wiedeń-

skim, minęły zatłoczony studentami dziedziniec, po czym weszły do Café Landtmann, do utrzymanej w żółto-brązowej tonacji sali dla pań. Miejsce było wytworne, dyskretne, rozświetlone wiszącymi na ścianach kryształowymi lustrami, tworzącymi iluzję pomieszczenia o dużo większej powierzchni; jasna boazeria wyciszała je i czyniła przytulnym.

Milli zasugerowała stolik przy oknie.

– Lubię Landtmanna – powiedziała. – Jest popularny, ale nie przyciąga wszystkich. Widzi pani tamtą brunetkę? W kapeluszu z popielatymi piórami? To gwiazda tutejszej sceny operowej. A tam w rogu? Aktoreczki Teatru Miejskiego. Bywają tu głównie artyści, bardzo barwne i oryginalne towarzystwo.

Złożyły zamówienie. Kiedy na kruchej i cieniutkiej niczym papier porcelanie przyniesiono im po kawalku tortu Mozarta, a w filiżankach o wielkości naparstków kawę, Milli przeszła do rzeczy.

– Wiedeń to od dawna mekka filistrów, ściągają tu z całej Europy – oświadczyła z uśmiechem. – Prawdziwe indywidualności wybijają się z trudem, bo życiem i sztuką rządzą skostniała akademicy i konserwatyści, ale to się wkrótce zmieni. Pani, panno Judyto, mogłaby na tym skorzystać. Jest pani niczym rajski ptak, musi pani tylko rozwinąć skrzydła i pokazać, co jest warta naprawdę, a ja mogłabym to ułatwić. Nie ukrywam, że i mnie byłoby to na rękę. Po pierwsze, Minę uważam za przyjaciółkę, a jej pani los leży na sercu. Po drugie, znajomość z malarką o tak wyjątkowej wrażliwości i wyobraźni będzie także nie lada atrakcją dla mych przyjaciół. Za tydzień, jeśli tylko dopisze pogoda,

wybieramy się na majówkę do parku Schönbrunn, to nasz doroczny zwyczaj. Pozna pani fascynujących ludzi, artystów podobnych do pani. Brat mego zmarłego szwagra jest malarzem i nie omieszkam go nakłonić, by nam towarzyszył. Ma kontakty w tutejszym artystycznym świecie, mógłby pomóc pani stanąć na nogi.

Judyta upiła łyk aromatycznej, słodkiej niczym syrop kawy.

– To brzmi jak zapowiedź czegoś nowego – powiedziała ostrożnie.

– I owszem! Proszę przygotować się na moc wrażeń, odąd nie będzie pani narzekać na nudę.

* * *

Tego poranka Judytę zbudził dzwon. Zerwała się z łóżka i otworzyła szeroko okno. Niedziela zapowiadała się jak marzenie, bo do pokoju wpadło pachnące wiosną powietrze, a na niebie o połysku porcelany tylko tu i tam białe obłoki. Ulica była pustawa, lecz wkrótce na chodniki wylegną przechodnie.

Planowana wycieczka do pałacu Schönbrunn cieszyła ją bardziej niż niegdyś chanukowe podarki, zatem więcej uwagi niż zazwyczaj poświęciła wyborowi stroju. Powiewna suknia z białego szyfonu uwydatniła połyskliwą czerń włosów, które poprzedniego wieczoru wypłukała w odwarze z czarnego bzu, bladoniebieski żakiet podkreślał szczupłą talię, twarzowy kapeluszek miał chronić cerę przed słońcem. Potem spakowała pled, a do kosza z żółtej wikliny, nakrytego kraciastą serwetą, włożyła butelkę nalewki z porzeczek, papierowe różki pełne

kandyzowanych owoców, strudel posypyany tłuczonymi orzechami i winogrona.

Panna Flöge pojawiła się u Miny tuż po śniadaniu. W jasnej bluzce i zielonej spódnicy z klinów zachwycała niewymuszoną prostotą ubioru, naturalnym i bezpośrednim obejściem oraz szczerym uśmiechem dziewczyny zakochanej w rozkoszach życia. Ponagliwszy Judytę, bo na dole czekał wynajęty powóz, nakazała dorożkarzowi upchnąć kosz z prowiantem w bagażowym schowku, a gdy zeszły przed kamienicę, zaprezentowała resztę towarzystwa.

– Paulina, moja siostra – powiedziała. – I przyjaciel rodziny, Gustav Klimt.

Paulina od pierwszej chwili przyjaźnie okazywała Judycie zainteresowanie, natomiast Klimt odzywał się z rzadka, cedząc od czasu do czasu krótkie frazy. Wywierał osobliwe wrażenie; rudobrody i kędzierzawy, w białym letnim surducie i identycznego koloru czapce z daszkiem nasuwał na myśl wilka morskiego, lecz w żadnym razie wziętego malarza.

Ruszyli na południe.

– Wytrzęsie nas za wszystkie czasy – stwierdziła Paulina, gładząc tkaninę spódnicy w kwiatowy rzucik.

Klimt siadł wygodniej i oparł swobodnie rękę na złożonej budzie powozu.

– Nic z tych rzeczy – oświadczył. – Zamówiłem porcelanową jazdę.

Podróż urozmaicały opowieści o kamienicach, willach i prywatnych pałacykach ukrytych w kipiących zieleni ogrodach, a ponieważ dorożkarz omijał zrećźnie wyboje, dbając o płynność jazdy, Judyta miała wrażenie, że istotnie przewożą

niezwykle kruchą porcelaną. Sporo przed pałacem cesarskim sknęli, by zajechać do parku od strony Meidling.

Wysiedli przy bramie, umówili się z dorożkarzem na powrót, po czym z koszami i pledami powędrowali spacerowym krokiem ku gęstwinie soczystej zieleni. Wkrótce z naprzeciwka wyszli im na spotkanie dwaj mężczyźni, którym Milli pomachała ręką.

– Kolo Moser, rewelacyjny malarz – wyjaśniła. – I Max Henneberg, architekt. Uff. No to jesteśmy w komplecie.

Była duszą towarzystwa; przedstawiła Judycie nowo przybyłych i natychmiast poleciła im przejąć kosze, prowadząc jednocześnie wszystkich ku wzniesieniu, gdzie znajdowała się imponująca rozmachem i zdobieniami glorieta.

W niedługim czasie wspięli się na szmaragdowe wzgórze Schönbrunn, skąd roztaczał się widok na kępy drzew i zagajniki, oczka wodne, fontanny oraz baseny. Architektura i przyroda tworzyły tu współgrającą całość, harmonizującą z ukształtowaniem terenu oraz znajdującym się w oddali i niedostępnym dla zwiedzających pałacem cesarskim.

Kiedy wybrali miejsce odpoczynku, nieco poniżej gloriety, panie rozpakowały przekąski, panowie odkorkowali butelki, brzęk szkła stłumiły przekomarzania i śmiechy. Judyta skosztowała słodkawego reńskiego i z kieliszkiem w dłoni sunęła wzrokiem po sielskim pejzażu oraz jasnej plamie siedziby Habsburgów.

– Patrzy pani na fontannę Neptuna? – spytał Moser, jakby domyślał się, co zaprzątnęło jej uwagę. – Bogini Tetyda błaga o przychyłność dla Achillea, który wyruszył pod Troję.

Kolo, bo tak się do niego zwracała Milli, miał ujmujący, choć nieco kpiarski uśmiech franta i zaciekawione spojrzenie artysty. Był też przystojny, ciemnowłosy, o wypielegnowanych podkręconych wąsach, które mimochodem gładził.

– Rzecz jasna Achilles jest stracony, bo przepowiednie i los muszą się wypełnić, ale pani zapewne doskonale zna ów mit – dodał Henneberg.

Max, blondyn o niebieskich oczach i ściętej w szpic bródce, stanowił przeciwieństwo Mosera. Chociaż wyglądał na młodszego, cechowała go większa stanowczość wyczuwalna w gestykulacji oraz modulacji głosu. Ów głos nie wiedzieć czemu drażnił Judytę, bo odnosiła irracjonalne wrażenie, że ma do czynienia z bufonem, a ponieważ Henneberg nasunął jej nagle niejasne wspomnienie czegoś przykrego, o czym ledwie zdołała zapomnieć, zżymała się w duchu, że otwarcie szuka jej towarzystwa i że przyłączył się do rozmowy.

Skinęła jednak leniwie głową i uśmiechnęła się uprzejmie. Pomyślała, że dużo bardziej odpowiada jej pogawędka z Milli, ta jednak zniknęła w jednej z bocznych alejek z Klimtem, gdyż nie ukrywała, że łączy ich głębsza zażyłość, co najmniej przyjaźń.

– Milli opowiadała nam, że jest pani malarką z Krakowa. Doskonale zna pani nasz język. Gdyby nie akcent, nigdy bym się nie domyślił, że jest pani Polką.

Użyte przez Henneberga sformułowanie zaniepokoiło Judytę.

– Bardzo pan łaskaw – odrzekła – ale brak mi swobody. I słów.

– W parku znajdzie pani inspirację, on niezmiennie zachwyca artystów, bo tyle tu nastrojowych zakątków, miejsc o niepowtarzalnym klimacie. Moim zdaniem najwięcej uroku mają najmniej uczęszczane alejki. Tu niedaleko na przykład jest moja ulubiona, typowo francuska w stylu, z drzewami obrośniętymi bluszczem, którego pnącza łączą się w górze w rodzaj naturalnego dachu. A nieopodal można podziwiać równie piękne ruiny Kartaginy – powiedział Moser.

Max podniósł się z pledu i wyciągnął do Judyty rękę.

– Ma pani ochotę na spacer? – spytał. – Zejdziemy ze wzgórza, a ja z radością odegram rolę przewodnika. Kolo tymczasem dotrzyma towarzystwa Paulinie, póki Milli i Gustav nie wrócą.

Przyjęła jego rękę, choć wino uderzyło jej do głowy, bo dopiero po fakcie stwierdziła, że delektowanie się reńskim na nasłonecznionym stoku świadczy o daleko posuniętej nierozwadze.

Jakiś czas szli ścieżką wiodącą między gęsto rosnące drzewa, a gdy zanurzyli się w ich cieniu, poczuli pieszczotliwe muśnięcia wiatru.

– Od dawna jest pani w Wiedniu? – usłyszała.

– Kilka miesięcy.

– Jak się pani podobają wiedeńczycy?

– Bardzo, jeśli tylko udaje im się powściągnąć nadmierną ciekawość.

– To tylko niewinne pytania, próba, być może rzeczywiście niezbyt zręczna, podtrzymania kulejącej konwersacji. Ale może być pani szczerą, nie urazi mnie pani krytyką.

– Proszę bardzo, sam pan jest sobie winien. Są otwarci, lecz konserwatywni, przyjacielscy i pełni uprzedzeń, pobożni

oraz zepsuci do szpiku kości. Krótko mówiąc: pełni kontrastów. Proszę nie brać sobie tego do serca, podobnie myślę o moich rodakach. Dokąd idziemy?

– Do ruin Kartaginy.

– Nie są oczywiście autentyczne?

– Nie są, ale zapewniam, że nadrabiają dekoracyjnością.

W przedłużającym się milczeniu dotarli do celu, do murów oraz łuków triumfalnych stylizowanych na ruiny antycznej świątyni i otaczających wypełniony szaroniebieską wodą basen, gdzie między opadłymi z drzew liśćmi migotały refleksy światła. Pośrodku wznosiła się grupa wyrzeźbionych w kamieniu postaci.

– To bogowie Dunaju i Enns – wyjaśnił Henneberg.

– Nie sądzi pan, że to zabawne? Co boga Dunaju może łączyć z Kartagina? – zakpiła. – W istocie, jest romantycznie i dekoracyjnie. Dokąd teraz?

– Do fontanny Najady. Proszę spojrzeć, stąd już ją pani zobaczy.

Weszli w alejkę biegnącą wzdłuż wysokich, przyciętych zręcznie ścian z żywopłotu o nieprzeliczonych odcieniach zieleni.

– Zapewne tęskni pani za domem?

– A powinnam?

– Więc nie? Właściwie... jest tu wielu pani rodaków, ostatnimi czasy głównie w ratuszu i jego okolicach. Proszę nie posądzać mnie o uszczypliwość, nie jestem przeciwnikiem premiera Badeniego, choć zdaniem niektórych jego los zostanie wkrótce przesądzony. Pomysł ustaw językowych, dość karkołomny, można jak najbardziej usprawiedliwić, osobiście

uważam, że tu Badeni ma rację, ale podzielił wieńców i skłócił...

– Zabawia mnie pan nowinkami ze świata wielkiej polityki. Nie boi się pan, że mnie tym znudzi?

– Hmm... Mówmy zatem o sztuce.

– A może o panu? Jest pan architektem, tak? Czym się pan obecnie zajmuje?

– Odnawiam ratusz, na prowincji. Tu niedaleko, na Hietzingu, mam pracownię, a drugą, mniejszą, na spółkę z kolegą, na Spittelbergu. Zna pani Spittelberg? To najbardziej podejrzane i niebezpieczne zaułki Wiednia, ale atelier da się wynająć za bezcen.

Chyba bawił się jej kosztem, bo wyczuła kpinę, jakby zamierzoną prowokację, przyspieszyła więc kroku, by czym prędzej znaleźć się przy fontannie Najady, idealnie okrągłym oczku wodnym, z którego biła ku górze szemrząca cicho woda.

– Wracajmy – oświadczyła nagle.

– Już? A rosarium i zwierzyniec? – zadrwił Max.

– Proszę sobie ze mnie nie żartować. Nie pojmuję przyczyn tego tonu.

– Ach, rozstroilem panią! Rozumiem, że straciłem w pani oczach, bo przewodnik ze mnie mierny. Albo, co prawdopodobne, trudno sprostać pani wymaganiom. Jest pani intrygująca, ale pełną sprzeczności kobietą, panno Judyto, a czasem, kiedy daje się pani ponieść emocjom, traci pani zdrowy rozsądek i mylnie ocenia sytuację. Taka nieprzystępność kojarzy mi się z różą. Jest niewątpliwie piękna, urzeka szkarłatem i odurzającą wonią, lecz biada temu, kto zlekceważy jej kolce.

– Jest pan irytujący! Nie wiem, skąd takie banalne wnioski, przecież mnie pan nie zna!

– A nasze spotkanie na Spittelbergu?

– Słucham?!

– Przypominam się pani od co najmniej godziny.

Judyta poczerwieniała z gniewu. Rozejrzała się, jakby szukała drogi odwrotu, choć tak naprawdę sprawdzała tylko, ilu postronnych świadków ma ta krępująca rozmowa.

– Na litość boską! Zamierza pani czmychnąć? Przecież nie jestem potworem, ma pani do czynienia z cywilizowanym, kulturalnym człowiekiem. Nie rozumiem po prostu przyczyny pani niechęci. Ofiarowałem się z pomocą, co więcej, byłem gotów bronić pani czci. Może z panią należy się obchodzić w rękawiczkach?! Ale park publiczny to nie Spittelberg i nie da się ukryć, że dziś okoliczności są inne. Jest środek dnia i oboje wiemy, z kim mamy do czynienia, można by się nawet pokusić o stwierdzenie, że łączą nas wspólni znajomi. Nie musi być pani niemiła.

– To pan jest niemiły! Nie rozpoznałam pana i chyba trudno się temu dziwić. Wtedy nie widziałam pana wyraźnie, bo było ciemno. Na Spittelbergu znalazłam się przypadkiem, po prostu słabo znam miasto, a pan mnie zaczepił i nie był pan pierwszym natrętem, sądziłam więc, że mam do czynienia z kolejnym nagabywaczem. Nie zamierzam zresztą pana przeproszać ani tym bardziej się tłumaczyć, bo nie widzę powodu, a jeśli nie odpowiada panu moja nieprzystępność, wróćmy do pozostałych osobno.

Odwróciła się i nie oglądając się na Maxa, ruszyła w stronę ruin Kartaginy. Został zapewne przy fontannie, bo nie

słyszała jego kroków, i nieco ją to rozczarowało. Pomyślała nawet, że mężczyźni wszędzie są tacy sami, prędzej czy później ją zostawiają.

* * *



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 022 331 91 49
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 022 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.
Antalis*

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Bogumiła Widła*
Korekta *Joanna Morawska, BAHARAT, Magdalena Szroeder, Anna Sidorek*
Redaktor techniczny, DTP *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12712-9

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków